

Królestwo za polityczność!

3 lipca 2014

Ciarki mnie przechodzą, gdy słyszę o „niezależnych” i „apolitycznych” instytucjach. Proszę sobie zatem wyobrazić moje odczucia, gdy w reakcji na sytuację, w której prezes jednej z instytucji ochoczo planował dymisję ministra naszego kraju, niektórzy komentatorzy zaczęli głosić postulat jeszcze większego uniezależnienia i odpolitycznienia tejże instytucji. Oczywiście w kraju, w którym kultura polityczna z kulturą ma tyle wspólnego, co wolny rynek z wolnością, pomysły ograniczania sfery oddziaływania polityki muszą spotykać się z poklaskiem. Wpadki naszych kiepskich polityków nie powinny jednak być argumentami przeciw polityce jako takiej. W czasach wchodzącej brutalnie we wszystkie obszary życia logiki rynkowej, w naszym interesie jako społeczeństwa leży obrona sfery politycznej, a nawet jej poszerzanie. Tymczasem niestety „polityka”, „polityczność”, „upolitycznienie” i inne pojęcia pokrewne uchodzą u nas za skompromitowane. Zupełnie niesłusznie.

Definicji polityki jest chyba tyle, ilu politologów. Ja posługuję się bardzo prostą, żeby nie powiedzieć prostacką: polityka to podejmowanie działań na rzecz – różnie pojmowanego – dobra wspólnego. Chwila – powiedziałaby ktoś – a walka o „frukta”, rozdzielanie miejsc na listach, obsadzanie „swoimi” stanowisk w spółkach skarbu państwa? Odpowiadam: to wcale nie jest polityka – te zjawiska (którym należy stanowczo przeciwdziałać) jedynie jej towarzyszą. Gdy wypełniają ją i stają się jej treścią, wtedy wspólnota ma poważny problem. I ten problem niewątpliwie mają Polacy. Jednak najgłupsze, co można w takiej sytuacji zrobić, to odrzucić politykę tout court. Bo to oznaczałoby dla wspólnoty samorozbrojenie i oddanie się pod okupację kogoś dużo gorszego niż zepsuci politycy.

W sytuacji upolitycznienia sfery publicznej, również wtedy,

gdy kultura polityczna jest na najniższym możliwym poziomie, troska o dobro wspólne istnieje zawsze, choćby jako nierealizowany, ale możliwy do pomyślenia potencjał. Tymczasem gdy sfera publiczna przestaje być domeną polityki, dobro wspólne znika nawet z teorii i potocznego języka. Na jego miejsce wchodzi zaś niepostrzeżenie – pod płaszczykiem tzw. efektywności – zwyczajny partykularny interes. Interes oczywiście głównie osób i grup znajdujących się blisko centrów decyzyjnych.

Przynajmniej od kilkadziesiąt lat obserwujemy zawężanie zakresu polityki, co przejawia się na dwa sposoby. Po pierwsze, polityka i politycy mają coraz mniejszy wpływ na rzeczywistość. A więc pośrednio my wszyscy mamy mniejszy wpływ na rzeczywistość, gdyż to my tych polityków wybieramy i czasowo dajemy im mandat do rządzenia. I mówię tu o politykach wszystkich szczebli, także lokalnych. Decentralizacja władzy – postulat modny i często deklarowany – staje się jedynie przykrywką dla procederu „odbijania” sfery publicznej polityce. Zmniejszanie roli państwa odbywa się pod płaszczykiem przekazywania wspólnotom lokalnym coraz większej ilości kompetencji, jednak w istocie otrzymują one jedynie ochłapy, a prawdziwa władza wędruje nie w dół, lecz w górę. Przejmują ją instytucje zdominowane przez technokratów i ekspertów, kierujące się rzekomo obiektywnymi przesłankami, a tak naprawdę – interesami grup je kontrolujących, nie zawsze interesami wyrażanymi wprost.

Agencje ratingowe, fundusze inwestycyjne i inne podobne instytucje szantażują rządy samą możliwością reakcji („co na to powiedzą rynki finansowe?”). Dzięki temu uzyskują coraz większy nieformalny wpływ na władze w kolejnych krajach. Podświadomie odczuwana przez decydentów politycznych możliwość błyskawicznego przeniesienia kapitału inwestycyjnego w inne miejsce ogranicza suwerenność ich myślenia i decyzji, przez co suwerenny przestaje być także lud. Decyzje, w których politycy wciąż są naprawdę autonomiczni, mają coraz mniejsze, żeby nie

powiedzieć drugorzędne znaczenie. Natomiast te najważniejsze, dotyczące standardów życia wspólnoty, oddawane są bez walki anonimowym „białym kołnierzykom”. Substytutem dawnej władzy stają się urastające do miary najważniejszych problemów wojenki światopoglądowe, które są jedynie desperackimi próbami odzyskania poczucia sprawczości – tak przez polityków, jak i społeczeństwo.

Po drugie, sfera polityki zawęży się wraz z pojawianiem się kolejnych dogmatów, niepodważalnych praw i standardów, które każda wspólnota polityczna musi spełniać, jeśli chce uchodzić za cywilizowaną (oczywiście liczących się już mocarstw te dogmaty nie dotyczą). Aksjomaty te dotyczą wszystkich obszarów, choć oczywiście najwięcej ich jest w dziedzinie ekonomii, która dla „nowej władzy” jest najważniejsza. Mamy więc przykładowo wymóg dyscypliny budżetowej z jednej strony, a z drugiej postulat państwa neutralnego światopoglądowo. Kolejne aksjomaty można wymieniać jednym tchem: niska inflacja, zmniejszanie roli państwa w gospodarce, obniżanie podatków itd.

I nawet nie chodzi o to, że powyższe postulaty nie mają pewnych słusznych podstaw. Problem w tym, że wspólnota, która wybija się na niepodległość, tak naprawdę ma związane ręce, a przed sobą tylko jedną możliwą drogę rozwoju (co najwyżej w kilku nieodległych od siebie wariantach). A więc wspólnota taka, uzyskawszy niepodległość, wpada z zależności wyrażanej wprost w zależność wyrażaną domyślnie.

No dobrze, ale czy polityka w ogóle jest nam potrzebna? Skoro odchodzi do lamusa, to może jest to pożądany trend? Nic bardziej mylnego. Polityka to sama esencja wspólnoty. Jeśli tak ochoczo angażujemy się w wojenki obyczajowe czy personalne, to dzieje się tak właśnie dlatego, że jak tlenu łakniemy poczucia wspólnej sprawczości. Spór o sprawy wspólne łączy nas bardziej niż zwycięstwo piłkarskiej reprezentacji Polski czy medale olimpijskie dla „naszych”. Podmiotowość polityczna jest tym, co czyni z nas wspólnotę – gdy jej nie

ma, brakuje również prawdziwego zwornika. Gdy zawężamy zakres polityki, zawężamy także zakres decyzyjności wspólnoty, a co za tym idzie – osłabiamy jej fundamenty. Nic przecież tak nie łączy, jak przeświadczenie o potrzebie (i możliwości) podjęcia wspólnie decyzji istotnych dla każdego z nas. Gdy tego zabraknie, gdy oddamy gros decyzji w ręce „apolitycznych” i „niezależnych” instytucji (nawet jeśli będą to instytucje krajowe), przestaniemy być wspólnotą, a staniemy się jedynie grupą ludzi zarządzanych przez te same podmioty.

Ciągle potępiane „upolitycznienie sfery publicznej” to także szeroki zakres kontroli społecznej. Nawet jeśli polityka wiąże się z wieloma patologiami, to jednocześnie daje nam mandat, by te patologie piętnować i domagać się ukarania winnych (czy ten mandat jest realizowany, to już inna kwestia). Faktem jest, że gdy nie spodoba się nam upublicznione nagrania rozmów paru ministrów, premier musi – co najmniej – gęsto się za nich tłumaczyć na konferencji prasowej. I drugorzędne jest to, że te tłumaczenia są dęte – już nasza w tym głowa, by wypracować takie mechanizmy kontroli i nacisku społecznego, żeby dęte tłumaczenia i mydlenie oczu maksymalnie ograniczyć. Najważniejsze jest to, że mamy w ogóle mandat do tego, by domagać się wyjaśnień, zmian itp. Natomiast rynkom finansowym lub międzynarodowym korporacjom możemy co najwyżej nagwizdać. Bo przecież, jeśli nam się nie podoba, zawsze możemy iść gdzie indziej. Tymczasem wolność konsumencka to fikcja – wie o tym każdy, kto próbował zmienić np. sieć kablową. Podmioty prywatne nigdy nie będą działać na rzecz dobra wspólnego, gdyż takiego celu nie stawiają sobie nawet w teorii. I nie ma w tym niczego złego. Zła i nienormalna jest dopiero sytuacja, w której oddajemy takim podmiotom część naszej sfery publicznej.

Gdy dopuszczamy w ogóle myśl, by rozstać się z politycznością, musimy brać pod uwagę, co stanowi dlań alternatywę. A ta jest co najmniej odpychająca. Na miejsca zwolnione przez wybieranych przez nas polityków już czekają zastępy technokratów. Technokracja jest w istocie gorsza niż najgorsza

biurokracja. Biurokracja (w pejoratywnym rozumieniu tego pojęcia) jest zdegenerowaną i skrajnie zrutynizowaną formą realizowania polityki, a więc tak jak polityka, ma u swych źródeł (nawet jeśli dawno zapomnianych) dbałość o dobro wspólne. Tymczasem technokracja jest odczłowieczona już w swej idealnej i czystej formie. W przypadku biurokracji możemy chociaż liczyć na poprawę lub się jej domagać. W przypadku technokracji nie mamy ku temu żadnych podstaw. Żeby technokracja spojrzała na potrzeby ludzi, musiałaby przestać być technokracją. Ona kieruje się jedynie obiektywnymi przesłankami, wyrażanymi w formie przeróżnych celów inflacyjnych, stóp zwrotu z inwestycji, fluktuacji wzrostu itd. Społeczeństwo jest dla niej jedynie zbiorem statystyk i wykresów. Głodujące dziecko lub samotna matka to dla technokratów pojęcia zupełnie abstrakcyjne i jeśli nie da się ich przedstawić w formie analizy lub raportu, to znaczy, że nie istnieją. W urzędniku można chociaż spróbować wzbudzić litość lub przypomnieć, że służba cywilna nieprzypadkowo ma w nazwie „służbę”. W przypadku pracownika „niezależnej” instytucji nie ma na to szans. W istocie, najgorsze co może spotkać demokrację, to rząd techniczny.

Technokracja jest czymś jeszcze – to śmierć wszelkiej idei. Tymczasem to właśnie idee popychają nas do działania. To przede wszystkim one popychały świat i historię do przodu. Owszem, nieraz zaprowadziły nas też na skraj przepaści, ale odciągnęły nas wtedy od niej inne idee. Gdy oddamy sferę publiczną technokratom, zabraknie idei, zabraknie więc wszelkiej głębszej myśli i humanizmu. Niechybnie staniemy znów na skraju przepaści – z tym że wtedy nie będzie miało nas już co od niej odciągnąć.

Najnowsza afera taśmowa i inne, przyszłe afery, które z pewnością jeszcze nie raz wyjdą na światło dzienne, nie powinny nas zrażać do polityki jako takiej. Wręcz przeciwnie, świadomość tego, jak wiele jeszcze jest do zrobienia w naszej wspólnocie, powinna nas motywować do działania. Nie oddawajmy

decyzji politycznych „niezależnym instytucjom” i „apolitycznym ekspertom”, bo gdy to już zrobimy, odzyskanie sfery publicznej będzie nie lada problemem. Lepiej trzeźwo spojrzeć na polityków i ze zgrozą przypomnieć sobie, że sami jako wspólnota ich wybraliśmy. Wtedy szybciej dotrze do nas, że mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek kontrolować ich, naciskać, żądać. Zarówno premiera, jak i wójta kilkutysięcznej gminy. Z takim podejściem będziemy w stanie uzdrawiać politykę i przywracać jej prawdziwe znaczenie. A wtedy jasne stanie się, że w zdrowym państwie każdy organ decyzyjny – państwowy czy samorządowy – powinien być polityczny. Wyjątek stanowić powinny być organy kontrolne (NIK) oraz wymiar sprawiedliwości. Gdy jednak apolityczny charakter przypisuje się instytucji powołanej do prowadzenia polityki (np. pieniężnej), powinniśmy zacząć patrzeć na naszą demokrację z troską.

Autor: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)